

Dom otwarty

Co w komorach na ucho szeptałście, będzie rozgłaszane z dachów (Ew. wg Łuk. 12,3)

Płakała prawie cały czas. Wypłakiwała łzy za tych, którzy nigdy nie płaczą. Od rana do wieczora, i też nocą, podczas snu. Czasem ten płacz był niewidoczny dla zewnętrznego obserwatora, ale zawsze był obecny, był jej naturalną właściwością.

Teraz siedziała na łóżku, twarz miała czerwoną. Jej siwe włosy wyglądały jak zamrożony wodospad. Lekko zgarbiona, podpierając się na łokciu patrzyła na widok za oknem, po policzkach płynęły dwa strumienie łez. Na małym, nagim drzewku usiadła sikorka. Sympa lekki śnieg. Po szybie płynęły gdzieś strużki roztopionego śniegu. Padało tak od kilku dni i wydawało się, że nigdy nie przestanie, że zima nigdy się nie skończy.

Schronisko było przepełnione. Co wieczór zjawiali się nowi bezdomni. Było ciasno i samotnie. Kiedy niósł swoją historię bezdomności. Przy drzwiach, na korytarzu toczyła się rozmowa. Zza pokasywań, szmeru i dźwięku kroków słychać było zachrypnięty niski głos.

Byłem w tak pięknym miejscu, w Czechach. To dziś siły cud świata. To są Góry Stołowe, są tak niezwykle. Jest takie jedno miejsce, gdzie wydaje się, że przy skałach stoi cała armia krasnoludków, a to są takie niskie świerki. Tam są labirynty skalne, w tych górach. I byłem w takim labiryncie; O Boże! A można tam zabłądzić...

Zza opowieści zaczęły dobiegać jakieś nowe, chociaż znajome dźwięki. Coś, co powoduje dreszcz na linii kręgosłupa i tęsknotę. Kobieta oderwała wzrok od okna, wyprostowała się, przechyliła głowę w prawo i zastępyła na ułamek sekundy. Coraz wyraźniej słyszała melodię wygrywaną przez akordeon. Do schroniska zbliżali się grajkowie. Muzyka coraz silniej przebiła się przez mgłę schroniskowego tumultu. Dźwięki klarinetu zaplatały się jak nici, tworzyły konstelacje. Uderzenia bębna były pulsem. Akordeon wrzasał, niósł ze sobą nieuświadomione pokłady wspomnień, echo minionego, obraz domu, którego nigdy nie miała, zbierało jej się na płacz. Wysłała na korytarz nasycony zapachem wiatru, śniegu i oddechu.

Wybiła siódma. W izbie przystrojonej ozdobami z bibuły zgromadzili się ludzie chyba zewsząd. Muzyka była coraz bliżej, już we wnętrzu, za progiem. Najpierw zobaczyła Cygana z harmonią, miał czarny kapelus, za nim jacyś przebierańcy, w dziwnych i śmiesznych maskach, strojem nieróżniący się od wszystkich w tym domu bezdomnych. Grupa przebierańców była tu zaskoczeniem, choć oczekiwana, był przecież koniec karnawału, którego tu i tak nikt nie obchodził...

Włączyła się mimowolnie w nurt roztańczonego korowodu niesiona bezwolnym ruchem strumienia. W izbie, na ustawionych krzesłach siedzieli już bezdomni, niektórzy z ekscytacją w oczach, inni zapadnię-

ci gdzieś w głąb siebie. Usiadła na krześle pod ścianą. Tuż przy drzwiach ktoś ustawił stoły, jeden na drugim, by zrobić więcej miejsca. Przedziwnie skonstruowane nogi stołowe wyglądały jak monstrualne świeczniki, ale nie było świateł, nie było światła, nie było ognia...

Nagle muzyka owładnęła całą przestrzenią, zrobiło się ciepło, na środek izby wybiegł jakiś centaur, wyglądał trochę jak lajkonik, trochę jak klaun, skacząc i wierząc nogami rozśmieszał publikę. Potem na środek wskoczył ktoś przebrany za kozę, w narzuconym na grzbiecie futrze, z głową zrobioną z drewna, z jeźdźcem wywalonym, z rogami sterczącymi do góry.

...mieli kiedyś parę kozłąt, kózka była białoszara i bardziej dzika, koziołek, jej syn, był czarny i strasznie milusiński, jak piesek, uwielbiał być głaskany. Do kozłąt zbierały się dzieci z całej wioski...

Zza parawanu zaczęły wyłaniać się postacie w maskach, zobaczyła wdowę, całą w czerni, która rozpostarła ramiona chce ulecieć, lecz zakrywa twarz, odchodzi ociężała; tuż za nią klarnecista z twarzą ptaka, jakby wyśpiewujący melodię samotności, trochę rzewną, liryczną. Przebierańcy w maskach są nie z tego

świata, oderwani od rzeczywistości. Od jakiej rzeczywistości? Od czterech ścian świętego spokoju? Są jak ze snu, baśni. Najbardziej spodobał jej się człowiek – bocian, w czarnym cylindrze, eleganckim fraku – władca dusz; magik wyciągający karty z rękawa. Układał piramidę z kart jak dom z piasku, wystarczył podmuch i dom zamienił się w popiół. Tak było, żadnego przywiązania, żadnej pewności, żadnych planów, a jednak tęsknota... Rozpłakała się.

Był tam kamienny mostek i strumyk, który latem wysychał. Zostały fundamenty spalonych domów.

Gdy pojawiła się pan-
na młoda lewitująca we

śnie, każdy chciał dotknąć jej dłoni, biały welon był niczym obłok, który w każdej chwili mógł zniknąć. Była jak promień, olśnienie, marzenie. Przez chwilę, bo tuż obok zza czarnego parawanu wychyliła się twarz człowieka z kneblem w ustach, zaczął się jakby dusić, jakby wzbierały w nim słowa, puchły, niewypowiedziane narastały w niemocy. Oboje zniknęli. Zachwyt bezdomnych zmienił się w uczucie niepokoju. Zamilkli. Lecz nie zamilkła muzyka, która jak wieczny puls ziemi dawała rytm oddechom. Muzyka, która jest nawet wtedy, gdy jej nie słychać, gdyby jej nie słuchać.

To, co było wewnątrz schroniska, było w niej, w środku. To, co było wszechświatem, również było w niej. Marzyła kiedyś, by wybrać się na Dach Świata. Zastanawiała się, jak wygląda koniec świata. Była domem, w którym nic się nie kończyło, chociaż ulegało bezustannej przemianie.

Tańce trwały do rana, a muzyka pozostawała echem już na zawsze, rozgłoszona – obudzona.



Magdalena Bartnik – polonistka, dziennikarka, poetka. Autorka tomiku poezji „Cień čmy” (Olsztyn 2008). Publikowała m.in. w „Gadkach z Chatki”, „Didaskaliach”, „Borussii”, „Kulturce”, „Krajobrazach i spojrzeniach” a także w książce „Inna Szkoła Teatralna” (Węgrajty 2007).